

Zawodowa współpraca, która przerodziła się w przyjaźń i... fascynację C

Moje spotkania z I

Pani Barbara Błaszczuk z Wrocławia dzieli się z nami wspomnieniami z ponad 40-letniej znajomości ze znanym czeskim naukowcem, potomkiem krymskich Karaimów. Niełatwe życie w trudnych czasach, momenty wzruszeń, ale i uśmiechu...



Barbara Błaszczuk

Z Ivanem Karakozem współpracowałam dwadzieścia lat. Zaczęliśmy w 1971 roku, gdy pojawiłam się w Pradze, zainteresowana kontaktami z Instytutem Genetyki Molekularnej Czechosłowackiej Akademii Nauk. Zajmowano się tam immunologią ptaków. Najbliższe moim badaniom okazały się te prowadzone przez Ivana i on także uznał współpracę z naszym Instytutem Immunologii i Terapii Doświadczalnej Polskiej Akademii Nauk za korzystną.

Pracowaliśmy ciężko i z zapałem. Staraliśmy się wykorzystać dane nam szanse i warunki do maksimum. Rozumieliśmy, że wykonywane doświadczenia, obejmujące indukowanie schorzeń i ich terapię, służą nie tylko teoretycznym rozważaniom. Rozumiał to także zespół ludzi opiekujących się zwierzętami, zarówno w Polsce, jak i Czechach, a także władze administracyjne. Chociaż zdarzały się też zabawne nieporozumienia jak wtedy, gdy nowa księgowa w moim Instytucie zwróciła uwagę, że powinienam opłacać hotelowanie i żywienie kur w instytutowych pomieszczeniach. „Przecież wszyscy mówią, że to pani kury” – upewniała się patrząc na moją głupią minę. „Tak, moje” – potwierdziłam jeszcze nie rozumiejąc. Księgowa nie znalazła żadnego dowodu potwierdzającego zakup tych zwierząt przez Instytut, a moje wyjaśnienia, że dostałam je w prezencie, do badań przecież, przyjęła z niedowierzaniem: „Jak to, w prezencie z Czechosłowacji, dlaczego?” – spytała. „Bo mnie lubią” – odrzekłam z dumą.

I rzeczywiście lubili mnie. A ja też ich lubiłam – tych, z którymi łączyła mnie praca, a także tych spotykanych na Hradczanach, w skle-

pach, w metrze. A przecież obawiałam się, że dwa lata po wkroczeniu wojsk między innymi polskich do Czechosłowacji nie spotkam się tam z sympatią. Tymczasem przeciwnie, zdarzało się, że widząc mnie pochyloną nad mapą, obcy ludzie pytali, skąd jestem i pokazywali drogę.

Mijał czas i współpraca naukowa rozszerzała się – o zwykłą zażyłość, serdeczne kontakty, a w końcu przerodziła się w przyjaźń trwającą dłużej niż dwadzieścia lat. Byliśmy świadkami wzajemnych sukcesów i klęsk, rodziły się i rosły nam dzieci. Otrzymaliśmy państwową nagrodę w uznaniu rezultatów naszych wspólnych badań (na jej wręczenie Ivan musiał kupić sobie garnitur, co nadszarpięło znacznie jego domowy budżet), wyniki ich publikowaliśmy w naszych krajach i w zachodniej Europie.

Przekazywaliśmy sobie wzajemnie potrzebne lekarstwa i to nie tylko Raphacholin, który w pokaźnych ilościach Ivan woził do Czech – zamiast kwiatka wręczał urzędnikom listek tego leku, co upraszczało załatwianie koniecznych spraw. Przeżywaliśmy wspólnie śmierć naszych bliskich i przyjaciół.

Przez te lata poszerzaliśmy nie tylko swoją wiedzę fachową. Poznawaliśmy historię, kulturę, religię i politykę naszych krajów. Rozmawiało się bowiem nie tylko o immunologii.

Ivan był kopalnią informacji z różnych dziedzin – czytał wszystko. Dobrze było siedzieć w Karakozowej bogatej bibliotece i rozmawiać o „wszeckim możliwym”. Ściany, stoliki, podłoga w tym dużym pokoju założone były książkami. To miejsce budziło moje szczególnie ciepłe odczucia. W czasie stanu wojennego w Polsce

Czechami.

vanem Karakozem

byłam pewna, że tu po mnie nie przyjda, że jestem bezpieczna, bardziej niż we własnym domu. W tym gorącym czasie Ivan informował krótko: „Już się nie bój, już nasze wojsko nie stoi na waszej granicy, wszyscy sąsiedzi (a byli to wojskowi) wrócili do domu. Lida, żona Ivana, zapytała mnie kiedyś: „Co to jest za książka od ciebie, którą Ivan trzyma już od miesięcy przy łóżku?” Na okragło czytał *Wezwano mnie z dalekiego kraju* Malińskiego, jedną z pierwszych książek o Karolu Wojtyła.

Niedługo po zabójstwie księdza Jerzego Popiełuszki Ivan przyjechał do Wrocławia. Rozmawialiśmy o tej zbrodni i wtedy zapytał, czy nie mogłoby dostać kazań tego księdza i jego fotografii. Opierałam się, wiedziałam, jak strona czeska reaguje na przewóz przez granicę pism religijnych. „Zamkną cię, jak nic, ja do tego ręki nie przyłożę” – perswadowałam. Uparł się. Zadzwońiłam do osoby, o której wiedziałam, że ma kontakt z nielegalnymi wydawnictwami. Po dwóch dniach zatelefonowała do mnie: „Te Kazania Świętokrzyskie, co to potrzebujesz dla maturzystów, są do odebrania”. Biedny Piotr Skarga, po kilkuset latach wyciągnięty z grobu, posłużył konspiracji w końcu dwudziestego wieku. Tej nocy nie spałam prawie wcale, rano w Instytucie zadzwonił telefon. Z Pragi. Ivan pił kawę, wesolutki, szczęśliwie przebrnął przez granicę.

Innym razem jego służbowy pobyt w Polsce zbiegł się z wizytą Lecha Wałęsy w kongresie Stanów Zjednoczonych. Pierwszy raz widziałam Ivana biegnącego. Uciekł z jakiejś służbowej wizyty, żeby przed moim telewizorem przeżywać z nami przemówienie Polaka: „We, the people...”

Niedługo potem przed tym samym telewizorem wzruszeni patrzyliśmy razem na Vaclava Havla, który z balkonu nad placem Vaclava przemawiał do Czechów. Piliśmy złote wino za Złotą Pragę i cały, wolny już, kraj.

Lida Karakozova

To był mój pierwszy dzień w Kolči, gdzie mieściła się farma zwierząt wsobnych, należąca do Instytutu Genetyki Molekularnej. Nieznani lu-

dzie, trudne rozmowy, przedstawianie wyników i lęk, czy aby są one coś warte. W Polsce swoje prace prowadziłam zupełnie sama, tutaj immunologią ptaków zajmowała się latami grupa doświadczonych badaczy. Dlatego też przyjechałam do nich. Po kilku ciężkich godzinach, podczas których poznawaliśmy się wzajemnie, przyszedł czas na obiad. A potem podeszła do mnie Lida Karakozova. Zaproponowała spacer. Oprowadziła po rozległej farmie. To było jak haust świeżego powietrza, odetchnęłam. Po latach przyznała mi się, że byłam trzecią osobą z Polski, jaką spotkała w życiu. Dwie pierwsze to złodzieje – jeden w sklepie w Pradze, drugi na parkingu w Bułgarii.

Pierwsza czeska wizyta

Po mojej pierwszej wizycie w Pradze, do Wrocławia przyjechał Ivan Karakoz już z konkretnymi planami współpracy. Ku mojej radości przyjechała też jego żona, Lida. Zamieszkali w hotelu Polonia, który wspominali jeszcze

W Karakozowej bibliotece. Od lewej: Barbara Błaszczuk, Ludmiła Karakozova, Jadwiga Skowrońska z Instytutu Immunologii PAN, również współpracująca z Ivanem Karakozem, Marek Skowroński (ojciec chrzestny córki Ivana, Kiry) oraz gospodarz.



Fot. archiwum I. Karakoz.

przez lata z rozczuleniem, a to z powodu windy. Otóż urządzenie to miało swojego „woźnicę”. Uroczy starszy pan wprowadzał gości do kabiny, naciskał guzik i jeśli winda nie ruszała, prosił, by część pasażerów wysiadła. Z uśmiechem wyjaśniał, że ciężar jest za duży, a on obiecuje wrócić po nich za chwilę.

Poza sprawami służbowymi, zaplanowałam zwiedzanie miasta, spotkania z interesującymi ludźmi, obiad w świdnickiej staropolskiej karczmie słynącej z dobrej kuchni. Ale wszystko na próżno. Tuż po przyjeździe Lida zachorowała. Leżała z wysoką gorączką, a ja doносиłam leki i kompoty.

Po tak niefortunnym początku Karakozowie bywali we Wrocławiu potem wiele razy. Zawarli polskie przyjaźnie, poznali nasze miasta, zwyczaję i potrawy. Ivan odkrył kaszę gryczaną, którą popijał kwaśnym mlekiem w biedniutkich ówczesnych barach. Ustawiał się po nią kilka razy w kolejce, wstydząc się zamawiania kilku porcji na raz.

Zasmakował w bigosie i śledziach. Pytał kiedyś, czy mamy wiele rodzajów bigosu. Wyjaśniałam, że to zależy od inwencji gospodyni, jedna dodaje grzyby, inna suszone śliwki, a jeszcze inna pomidory. Kręcił głową, chodziło mu o jakiś inny bigos. „Gdzie go jadłeś?” – pytałam, próbując się domyśleć, w czym rzecz. „Na dworcu” – padła odpowiedź. „No to nigdy już tam nie jedź” – poprosiłam. Ugotowałam kiedyś kapustę faszerowaną mięsem. Ivan znał gołąbki, ale to było co innego – pamiętał tę potrawę z dzieciństwa. „Taką kapustę jadłem ostatni raz w 1960 roku, jak żyła jeszcze moja babcia” – wspominał.

Przed salą wykładową Instytutu. Od lewej: pani Marchocka – kierowniczka Zwierzyńca w Instytucie, Ivan Karakoz, Majka Miglova, współpracownica Ivana, Barbara Błaszczyk, Bronisława Paliwoda, kierowniczka Biblioteki.



Fot. archiwum I. Karakoz

Któregoś razu dostałam od kuzyna ichtiologa dużego wędzonego lososia. Ivan właśnie przyjechał i został zaproszony przez profesorów do eleganckiej restauracji na obiad. Jako przystawkę podano plasterki wędzonego lososia. „Oni biedaki zapłacili za niego majątek pewnie, a ja się u was obzeram tą rybą bez opamiętania” – rozważał żarty losu.

Wizyty w Pradze

Praga była dla mnie olśnieniem. I pozostała. Późniejsze podróże, w czasie których poznałam piękne europejskie miasta, nie zatężyły tęsknoty za czeską stolicą, jej spokojnym, dostojnym urokiem, aurą ponadczasowej, niezmiennej trwałości. Nienaruszonej wiekami urody i pewnością swojego piękna.

Miłością do tego miasta chciałam się dzielić z bliskimi. Zaprosiłam młodszego, kilkunastoletniego brata. Przyjechał także mój mąż, nie krył zachwytu czeską metropolią. Poznał Karakozów, którzy jeszcze mieszkali w Libni. Krótkie było to spotkanie, ale dało początek wieloletniej znajomości. Nie wiedzieliśmy wtedy, że każdy Czech był zobowiązany do składania sprawozdań ze spotkań z cudzoziemcami. Dowiedziałam się o tym później, gdy w Kolči krążył spis uczestników sympozjum, na którym należało zaznaczyć nazwisko obcokrajowca, z którym miało się kontakt.

Przekraczanie granicy

Przypominało to rosyjską ruletkę. Nic właściwie nie zależało od podróźnego. O wszystkim decydowała straż graniczna i celnicy. Nie dało się niczego przewidzieć ani zastosować do jakichś zasad, bo nawet jeśli takowe były, to nikt ich nie znał. Ścisłe i nieprzyjemne kontrole dotyczyły zarówno Polaków jak i Czechów. Zaznaczyć też trzeba, że w różnym czasie aktywność służb granicznych była różna. Raz Czesi byli bardziej skrupulatni i zawzięci, innym razem Polacy.

Nie znaczy to, że nie próbowaliśmy przewieźć przez granicę naszych zakupów czy prezentów, trzeba się było liczyć jednak z tym, że ich nie przewieziemy. Ivan Karakoz, na oczach celnika, wyrzucił przez okno 10 czekolad, które wiozł dla zaprzyjaźnionych polskich dzieci. Został posądzony o nielegalny handel tymi słodyczami i jego wjazd do Polski stanął pod znakiem zapytania. Ja kiedyś nieopatrznie włożyłam do zeszytu 200 koron, które znalazł celnik. Musiałam wysiąść z pociągu, spisano protokół, pieniądze zarekwirowano. Szczęśliwie pozwolono mi wsiąść do pociągu i odjechać do kraju. Od



tej pory wszystkie niewydane korony zostawiałam u Karakozów, którzy w chwilach finansowych kłopotów zaciągali pożyczki w tym „banku”.

Kiedyś, ku wielkiej mojej uciechy udało mi się przechytryć czeską celniczkę. Lidzie Karakozowej spodobał się plecak mojego syna, Bartka. „Kirze by się taki przydał, ale przecież nikt go nie przewiezie” – rozważała. Niedługo potem znów jechałam do Pragi. Kupiłam ten plecak, zapakowałam do niego swoje rzeczy osobiste, materiały redakcyjne, bigos i sałatkę śledziową. „Co to?” – celniczka podejrzliwie obracała na wszystkie strony słoik bigosu. Zastanawiałam się: wsadzi rękę do środka, czy nie? Nie wsadziła, a ja opowiadałam jej, jak to moi czescy przyjaciele lubią bigos i sałatkę śledziową. Bo, fakt, lubili, i to bardzo. Kobieta patrzyła na mnie nieprzyjawnym wzrokiem. Kira dostała jednak plecak, ja wróciłam z reklamówką.

Innym razem jechaliśmy z Ivanem razem do Pragi. Był jeszcze stan wojennym, w całym wagonie cztery osoby. Ivan włożył za zasłonkę jakieś tekturowe pudełko. „Jak przyjdą celnicy to rób hałas” – poczuł mnie. „Jaki hałas, co mam

robić, krzyczeć? O co ci chodzi?” – zdenerwowałam się. „No, szuraj czymś w łóżku, kręć się. W tym pudełku mam chomiki, żeby ich nikt nie usłyszał” – wyjaśnił w końcu. Okazało się, że jadą z nami chomiki, jakieś szalenie ważne genetycznie, które Ivan otrzymał w Polsce w prezencie, a nie ma dla nich żadnych dokumentów, ani pozwoleń na przewóz.

Na granicy do naszego przedziału weszli celnicy z drabiną, rozkręcili sufit i wyjęli z jakichś schowków cztery wielkie worki. Szamotałam się w łóżku dla zakłócenia chomiczych szmerów, ale okazało się to zbędne. Celnicy wyszli zadowoleni z tajemniczymi workami. Ivan dowiedział się potem, że pewien Czech przewoził w nich piłeczki, gwizdki i koguciki, jakie sprzedaje się w Polsce na odpustach. Jeśli dodać do tego chomiki Ivana, kontrabanda w naszym przedziale sięgała szczytów absurdu.

Kafelki

Budowaliśmy dom. Budowanie w Polsce pod koniec lat 70-tych wymagało męstwa, graniczyło z szaleńczą odwagą płynącą z braku rozumu. Bez pomocy rodziny, przyjaciół, a często

Praha. Panorama Hradczan z katedrą świętych Wita, Waclawa i Wojciecha.



Fot. archiwum I. Karakoza

Ogród Zoologiczny we Wrocławiu. Barbara Błaszczuk z synem Bartkiem i Ivan Karakoz z córeczką Kirą.

przypadkowych ludzi zauroczonych moją niewzruszoną wiarą w sukces, nic by z tego nie było.

Pewnego razu jeden ze znajomych dziwił się: „Jeździ pani często do Czechosłowacji i nie ma możliwości zdobycia kafelków? Wszyscy Polacy tam kupują”. Zawstydzona swoją niewiedzą wybałam: „Przecież nie zmieszczą ich w walizce”. Okazało się, że pomysłodawca, Staszek P., pracuje na budowie koło Slanego i może je przywieźć samochodem.

Jechałam do Czechów służbowo, ale tym razem miałam także prywatny interes.

„Wania, musisz mi kupić kafelki” – zwróciłam się pieszczotliwie do Ivana. Popatrzył na mnie nie rozumiejąc. Zajęci pracą, przez chwilę nie odzywaliśmy się do siebie. „A o tych kafelkach to ja poważnie” – wróciłam do tematu. Ivan w trakcie pobytu w Polsce często nam pomagał – układał cegły, prznosił cement i kamienie. Teraz czekało go bardziej skomplikowane zadanie. I bohatersko się go podjął. Zdobył informację, gdzie znajduje się najbliższy skład materiałów budowlanych. Pojechalśmy tam. Plan był podstępny – ja się miałam nie odzywać, bo może magazynier chętniej lub taniej sprzeda Czechowi. Swoją aprobatę albo jej brak powinienam okazywać minami. Ivan nie byłby sobą gdyby nie wykorzystał tej sytuacji. Nagle stał się bardzo rozmowny. „Jak se ti líbí miláčku? A co ty modré, co myslíš miláčku?”¹ – pytał co chwilę, a ja zobligowana do milczenia, krzywiłam się tylko. W końcu kupiliśmy płytki i szczęśliwa już, przełknęłam nawet tego „miláčka”.

Kafelki zostały złożone w piwnicy u Karakozów. Po kilku dniach przyjechał po nie Staszek P. I doznał szoku – na piwnicznych półkach stały urny. W urnach znajdowały się prochy członków rodziny Ivana. Ta przechowalnia, wbrew temu, co można było pomyśleć na pierwszy rzut oka, miała całkiem prozaiczną przyczynę. Karakozowie, krymscy Karaimi, po rewolucji znaleźli się na terenie Słowacji. Po śmierci ojca, Andreja Karakoza, Ivan zabrał matkę do siebie i zamieszkali razem w Slanym, niedaleko Pragi. Był jednym z nielicznych młodszych członków rodziny, mieszkającej przeważnie we wschodniej części kraju. Starsi umierali i każdy przed śmiercią wyrażał życzenie, by zostać pochowanym na Krymie. Przewiezienie urn przez granicę i wytlumaczenie radzieckim pogranicznikom, w jakim celu, było niemożliwe. Na półkach w piwnicy urny czekały na inne czasy. Dopiero po śmierci Zofii Karakozowej, matki Ivana, cała nieżyjąca rodzina złożona została na cmentarzu w Slanym. Krym okazał się za daleki.

Po wyjaśnieniach i dłuższej rozmowie przy koniaku panowie zaprzyjaźnili się. W efekcie tego spotkania Ivan jeszcze kilkakrotnie kupował kafelki, a Staszek P. woził je do Polski. Już nie dla mnie.

Służbowe pobyty Ivana Karakoza we Wrocławiu

Byłam w zaawansowanej ciąży i zbliżał się termin porodu. Ivan tak przesunął swoją służbową wizytę w Instytucie, by być we Wrocławiu w czasie narodzin dziecka i móc świętować z jego ojcem powiększenie się rodziny Błaszczuków.

Przywiózł całą walizę niemowlęcych ciuszków po swojej rocznej wtedy już córeczce Kirze i razem z moim mężem objadali się małżami w konserwach, które Mietek przywiózł z jakiejś zagranicznej podróży, popijając je czerwonym winem. Z obrzydzeniem patrzyłam na te uczty. Ale panom w końcu znudziły się owoce morza. „Może byś nam zrobiła tę swoją zapiekankę, taką z jajek i ziemniaków?” – zapytali nieśmiało. W pięknym naczyniu w kwiatki, specjalnym do zapiekania, ułożyłam ziemniaki na przemian z jajkami, przyprawiłam jak trzeba i postawiłam na gazie. Na końcu należało zalać to wszystko śmietaną. No i zalałam – śmietaną prosto z lodówki. Huk i trzask rozległ się potężny, zapiekanka poprzyklepała się na ścianach i suficie, pokryła szafki, kuchenkę i stół – ozdobiły je malowniczo kwiatki z roztrzaskanego naczynia. Wyszłam bez słowa. Słyszałam

rozmowę obu panów: „Jeszcze trochę się da uratować, zbierzemy to jakoś. Słuchaj, ona się strasznie zdenerwowała, może urodzi teraz?” Coś tam jedli, zeskrobując ze ścian. Mój syn urodził się dwa tygodnie po wyjeździe Ivana. „Zawsze byłaś protivná” – usłyszałam od niego.

Minął rok. Mietek był gdzieś w podróży. Bartek wybił głową szybę w drzwiach balkonowych. Pogotowie, klamry na czole, bandaże. Do Instytutu przyjechał Ivan. zaproponował, że ponieważ jestem sama, to on się może przydać – zakupy, apteka, czy wizyta u lekarza. Było mi różniej. Któregoś dnia, późnym wieczorem zjawił się mój wuj z prośbą o jakieś pilne lekarstwo. Drzwi otworzył mu Ivan w piżamie. Wiele lat później wuj wyznał mi: „Nigdy nikomu nie wspominałem o tym, kogo zastałem u ciebie tego wieczoru”.

Ivan był pomocny, chociaż czasem mimo dobrych chęci dochodziło do nieporozumień.

„Co mam dzisiaj kupić?” – pytał codziennie. Kiedyś poprosiłam o połowę świeżego kurczaka. Wrócił zdenerwowany. „Ty możesz jasno określać, o co ci chodzi?” – zapytał. W sklepie poprosił o świeżego kurczaka, a sprzedawczyni odparła, że są mrożone. „Ale czy świeże?” – dopytywał. „Śmierdzących nie sprzedajemy” – usłyszałam gniewną odpowiedź.

W październiku 1982 roku przeprowadziliśmy się z małego mieszkania przy ulicy Radosnej do nowego, budowanego sześć lat domu w Wojszyczach. Kilka dni po przeprowadzce mój brat został internowany. Jakby tego było mało, następny problem pojawił się w pracy. „Pani Basiu, jest kłopot z doktorem Karakozem. Wszystkie hotele zajęte przez ZOMO, nie ma go gdzie ulokować” – oznajmił mój szef, profesor Giełdanowski. „Może przecież spać u mnie, miejsca mam teraz dosyć” – powiedziałam i westchnęłam: „Co ja mu dam jeść, czy te nasze kartki wystarczą?”. Ivan przyjechał przeczornie zaopatrzony w produkty spożywcze. Na wieść, że Romek jest w więzieniu, zrezygnował ze swego pożywienia. „Bierz dla niego, co chcesz, ja dostaję tu od Instytutu pieniądze, coś kupimy.” Rozglądał się potem zdezorientowany po półkach sklepowych – wszystko, co na nich stało, można było dostać tylko na kartki, wszystko oprócz groszku.

Anielska pomoc

Weekend spędzałam w Słanym, u Karakozów. Mieszkali na piątym piętrze w jednym z trzech wysokich bloków, poza centrum miasta. Paręset metrów dalej w niewielkim domu wynajmowała mieszkanie Majka Miglova, współpracownica Ivana. Jej synek był malutki, umówiliśmy się więc, że wpadnę do niej wieczorem, jak już będzie spał. Miałyśmy wiele do obgadania, toteż zapowiedziałam Lidzie i Ivanowi, żeby nie czekali z wieczerzą, bo wrócę późno. Wobec tego dostałam klucze. Obiecałam wejść cichutko, by nikogo nie budzić.

Pogawędki z Majką przeciągnęły się do północy. Dochodząc do bloku, wyjęłam klucze, ale drzwi otworzył uprzejmy pan, który nadszedł z przeciwnej strony. Przyglądał mi się bacznie, a ja na znak, że mam prawo tu wejść potrzasałam kluczami. Gdy w windzie powiedziałam, że jadę na piąte piętro, jego spojrzenie nabrało

Ivan na wieść, że mój brat, Romek, został internowany, przekazał dla niego wszystkie produkty, które przywiózł z Czech. A w sklepach bez kartek był wtedy tylko groszek...

czujności. Wysiedliśmy razem. Pan zatrzymał się przed drzwiami na wprost windy, ja skręciłam w prawo. Z tym nieszczęsnym kluczem w dłoni podeszłam do drzwi, by je otworzyć, gdy nagle coś mnie tknęło. Czyżby ktoś przyjechał do Karakozów? Korytarzyk prowadzący do ich miesz-

kania zastawiony był bowiem kilkoma parami butów. Spojrzałam na wizytówkę – to nie było mieszkanie moich przyjaciół! Pan stał i przyglądał mi się. „Ježišmarja, já jsem něco spletla”² – szepnęłam przerażona. „A wy do kogo?” – zapytał mój nocny towarzysz. „Do Karakozów” – wydusiłam z siebie. „A není to vedle? On je takový kulatý?”³ – widząc moją bezradność, starał się, mimo pewnej podejrzliwości, jednak mi pomóc. „Kulatý” – odparłam półprzytomna ze strachu. Nie pamiętam, jak dotarłam do drugiego, identycznego bloku, który był tym właściwym.

„No, jej nie można nawet na chwilę zostawić samej” – denerwował się nazajutrz Ivan. „Wszecko przez to, że te nasze baraki są stejne”⁴ – próbowała bronić mnie Lida. „To jest dobrze, że ten „soused”⁵ nie zatelefonoval po policję. Jakaś podejrzana baba w środku nocy włamuje się do cudzego mieszkania, no to by nikdo nevymyslel”⁶ – Ivan nie mógł się uspokoić. Moja nocna przygoda rozbawiła natomiast

wszystkich w Kolči: „Barbaro, škoda, že jsi neotevřela ty jiné dveře, to by byla sranda!”⁷.

Święty Tadeusz Juda

Jedziemy małym vlačkem [pociągiem] z Kolči do Slanego. Będę nocować u Karakozów, nazajutrz wracam do Polski. Lida jest przygnębiona: „Podívej se, Baszo, u was jest już inaczej, Węgrzy i Niemcy też się ruszają, tylko u nas nic. Po 68 roce myšmy mrtvy kraj”. „Nie martw się Liduszko. Modliłam się o was do Tadeusza Judy, będzie dobrze” – obiecuję. Lida pochodzi z rodziny ateistów, patrzy na mnie pytająco. „Wczoraj szłam piechotą do Kotwy i zwróciłam uwagę na wysoki, stary mur. Wsiadając z metra, jakoś go nigdy nie zauważyłam. W murze była furtka, weszłam. Znalazłam się na małym podwóreczku, przed drzwiami kościoła. Stała tam figura, przystrojona skromnymi bukietami kwiatów. Kilka kobiet klęczało, uklękłam i ja. To był Tadeusz Juda, święty od spraw trudnych i beznadziejnych, Lido. I ja tam modliłam się o was, o Czechów”.

Wieczorem siadamy z Ivanem nad wynikami naszej pracy. Lida przygotowuje wieczerę w kuchni. Gra radio, czeska Wolna Europa. Ivanowi głowa opada, zasypia na siedząco. Staram się sama coś tam podsumować, gdy słyszę jego nazwisko wymienione przez spikera. „Lido, Wania, mówią coś, że doktor Ivan Karakoz, ale nie wiem dokładnie” – alarmuję. Wyrwany ze snu Ivan i Lida z rękami oblepionymi ciastem

milczą dłuższą chwilę. „Bo myšmy podpisali apel opozycji *Několik vět*” – wyjaśniają. Za godzinę powtarzają wiadomości. Lista osób, które podpisały petycję. Lida ma pretensje, że jej nie wyczytali, chociaż podpisała wcześniej niż Ivan.

Następnego dnia w Kolči jest ciszej niż zwykle. Pakuję swoje zapiski i protokoły, żegnam się z paniami troszczącymi się o zwierzęta, z ekipą techniczną, z panem Kymplem dozorującym teren farmy. Żegnają mnie życzliwie i obiecują czekać na mój rychły – podkreślają – przyjazd. Po obiedzie mam wyjechać służbowym autobusem, razem z częścią praskiego personelu, do Pragi. Lida pyta, czy pojechać ze mną. „Co tobie? Po co? Przecież autobus dowiezie mnie do metra, metro na dworzec, a tam będzie czekał Tomas, wpakuje mnie do pociągu” – nie rozumiem tej nadopiekuńczości.

Tomas Hraba, nasz wspólny kolega, czekał, niemal wyjął mnie z wagonika. „Spokojnie w śródmieściu?” – zapytał. Mieszkał w innej części miasta. „Nie wiem, przecież jechałam pod ziemią” – przypomniałam mu. Usiedliśmy przy jakiejś herbacie, był przejęty, cały Instytut już wiedział o tym, że Ivan podpisał apel i że mówili o tym w Wolnej Europie. Rozmawialiśmy o dalszych planach współpracy, o książkach, które nas interesowały, ale myśli błądziły nam gdzie indziej. Nie byliśmy świadomi, że już wtedy, tuż za rogiem, na pobliskim placu Vaclava działa się rewolucja.

O dziewiętnastej mój pociąg wyjechał z Pragi, o drugiej w nocy dotarłam do Wrocławia. W moim domu świeciło się światło. „Co się stało?” – spytałam przerażona. „To ja się ciebie pytam, co się dzieje” – zdenerwował się Mietek. „Nic się nie dzieje” – patrzyłam na niego zdumiona. „To gdzie ty właściwie byłaś? Przecież w Pradze leje się krew!”

Dwa dni później w Instytucie zadzwonił telefon. Prawie nie poznałam głosu Ivana. „Basza, my tu wszyscy, v jídelně⁸ w Kolči, prosím tebe, żebyś się pomodliła do Tadeuszka Judy o nas”. Mowę mi odjęło. Na krótko. „Ja? To wy się módlcie” – radziłam z nutką uszczypliwości. „Przecież wiesz, że my jesteśmy niewierzący” – przypomniał niezrażony moim tonem Ivan. „Panu Bogu jest wszystko jedno, wierzący czy niewierzący, każdy może się modlić” – nie ustępowałam. „To co my mamy robić?” – pytanie było poważne i konkretne. „Zrobimy tak, kupicie kwiaty i pójdziecie do Tadeusza, a ja się pomodłę, żeby się u was wszystko dobrze ułożyło” – zakończyłam już miękko. Poszli.

Niedługo potem, w moim domu, z Ivanem, słuchaliśmy Vaclava Havla mówiącego do nie-

Podczas wycieczki ze Skowrońskimi w Polsce. Lida Karakozova, Kira Karakozova, Jadwiga Skowrońska.



Fot. archiwum I. Karakoz

przebranych rzesz ludzi z balkonu nad placem Vaclava i piliśmy złote wino za pomyślność wolnych Czechów.

Językowe potyczki

Kończył się mój ówczesny pobyt w Instytucie Genetyki Molekularnej. Kilkutygodniowy eksperyment obejmujący badania wpływu immunosupresorów na przebieg zapalenia mózgu dobiegał końca. Wykonaliśmy ogromną pracę. Kilkadziesiąt kur z różnych linii genetycznych otrzymywało codziennie testowane leki. Nasza fantazja naukowa nie miała granic. Tworzyliśmy coraz to nowe grupy zwierząt dla badania kolejnych preparatów. By ułatwić sobie pracę i nie sprawdzać codziennie umiejscowionych pod skrzydłami numerków, malowaliśmy poszczególne grupy ptaków określoną barwą. Mieliliśmy tylko cztery farby, a grup badanych było dużo więcej, należało więc barwić pióra w różnych częściach ciała, znacząc ptaka więcej niż jednym kolorem.

W laboratorium stoję nad stołem zastawionym surowicami badanych zwierząt, dodaję do nich określone antysurowice. Jestem skupiona, każda pomyłka zniszczy naszą dotychczasową pracę. Przy innym stole Ivan Karakoz pracowicie pakuje setki tkanek do butelek z formaliną. Każdą z nich opisuje numerem ptaka, tak by było wiadomo, jaką terapię przeszedł. W pewnym momencie Ivan pyta: „Baszka, jak se mówi elegancko po polsku dupa?”. „Dupa?” – skoncentrowana na swojej pracy nie bardzo wiem, o co chodzi. „No, elegancko dupa” – powtarza Ivan z naciskiem. „Może pupa?” – odpowiadam, nie odrywając wzroku od moich surowic. „Ale pupa to jest chyba u dzieci” – dopytuje Ivan uparcie. „Może tak” – mruczę, ale on nie ustępuje. „No to jak?” „Pośladki” – chcę wreszcie zakończyć te rozważania. Bez skutku. „Pośladki to są dwa, a cała dupa to jak?” – pada kolejne pytanie.

Ogarnia mnie złość. „A dasz ty mi wreszcie święty spokój, rozważań językowych ci się zachciało, właśnie teraz, tak? Jak ja się pomyle, to całą robotę szlag trafi, a ty mi zawracasz głowę jakaś dupa!”

Po kilku dniach samolot przywozi do Wrocławia materiały uzyskane w trakcie naszych wspólnych badań. Histologię, zgodnie z umową, ma wykonać w Akademii Rolniczej świetny specjalista, profesor Kotz. Moje młodsze koleżanki pakują do oddzielnych pudełk buteleczki z tkanekami kur traktowanych tym samym preparatem. Muszą sprawdzić każdy numer według zapisu w zeszytach. Przez ścianę słyszę początk-



Fot. archiwum I. Karakoz

kowo cichy, a potem już nieopanowany śmiech. Wchodzę do pracowni zastawionej pudłami, wśród nich rozbawione dziewczyny. „Czy pani widziała opisy na butelkach?” – pytają, nie kryjąc wesołości. Zaczynają czytać. „Modra dupa, czerwona gława. Czerne krzydło, czarna dupa. Modra gława, czerwona dupa. Żółta dupa, czarna gława...”

Niedługo potem zadzwonił Ivan. „Masz dużo pracy?” – zapytał troskliwie. „No, trochę. Butelki z preparatami do badań histologicznych przekazaliśmy od razu profesorowi Kotzowi.” – wyjaśniłam niewinnie. „Jak to, od razu? Nic nie zmieniałaś? Wiesz, Baszka, ty świnią jesteś, co on sobie pomyśli!” – zdenerwował się Ivan. „Ja? A kto powypisywał świństwa na butelkach?” – odpowiedziałam w odwecie. „A kto mi nie chciał powiedzieć, jak po polsku elegancko nazywa się dupa, chyba ty?” – rękawica została odrzucona.

Profesor Kotz nie poczynił żadnych uwag. A swoją drogą ja do dziś nie wiem, jak się „elegancko” po polsku mówi „dupa”.

Barbara Błaszczyk

Na wrocławskim Rynku. Od lewej Barbara Błaszczyk, Mieczysław Błaszczyk, Kira Karakozova.

Przypisy

¹ Jak se ti líbí miláčku? A co ty modré, co myslíš miláčku? – (czes.) Jak ci sie podoba, kochanie?

A te niebieskie, co myslisz, kochanie?

² Ježíšmarja, já jsem něco spleťla – Jezus Maria, musiałam coś pomylić.

³ A není to vedle? On je takový kulatý – A to nie obok? On taki okrągły.

⁴ Stejne – takie same.

⁵ Soused – sąsiad.

⁶ Nikdo nevymyslel – nikt nie wymyślił.

⁷ Barbaro, škoda, že jsi neotevřela ty jiné dveře, to by byla sranda! – Barbaro, szkoda, że nie otworzyłaś cudzych drzwi. Ale byłaby heca!

⁸ V jídelni – w stołówce.